NUMER 36. DNIA 7-go WRZEŚNIA 1902 ROKU ROK X

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

FILHARMONJA.

Instytucje koncertowe, noszące nazwę filharmonji, posiadają w Europie trzy miasta, mianowicie Wiedeń, Berlin i Warszawa. Głównem zadaniem tych filharmonji jest wzorowe wykonywanie dzieł orkiestrowych o treści poważnej i formach klasycznych, a więc: symfonji, suit, uwertur i koncertów na instrumenta solowe z towarzyszeniem orkiestry. Także dopuszczaną tam bywa i muzyka wokalna, ale tylko w klasycznej formie „arji koncertowej“, lub chóru mięszanego, o ile wymagają udziału jego utwory takie, jak np. 9 symfonja Beethowena, tegoż fantazja, opus 80 itp.

Najpoważniejszą, najsłynniejszą i najstarszą instytucją tego rodzaju jest filharmonja wiedeńska, przestrzegająca nietylko w doborze programów czystości wzorowej, ale i w wykonaniu dzieł klasycznych zachowująca bezpośrednio tradycje Beethowena, Mozarta, Haydna i Schuberta, mistrzów, którzy w Wiedniu żyli, Wiedeń ukochali i w pierwszej linji dzieła swe dla Wiednia tworzyli.

W program koncertów filharmonji wiedeńskiej nie wchodzą ani utwory treści lekkiej, ani też słabe pod względem techniki kompozytorskiej, to też w umieszczeniu jakiegoś nowego utworu muzycznego w programie tej instytucji leży pewna gwarancja, że nowemu dziełu pod względem faktury kompozytorskiej nic zarzucić nie można.

Prócz powyżej wymienionych filharmonji, istnieje jeszcze kilka poważnych koncertowych instytucji w Europie, nie noszących wprawdzie tej nazwy, niemniej jednak uprawiających z prawdziwym pietyzmem dobrą muzykę. Do nich zaliczyć trzeba w pierwszej linji koncerty lipskiego „Gewandhausu“, kolońskiego „Gürzenichu“, monachijskiego „Odeonu“, medjolańskiej „Societa del quartetto“, paryskiego „Konserwatorjum“, rzymskiej „Akademji św. Cecylji“, jakoteż koncerty towarzystw orkiestrowych w Kopenhadze i Sztokholmie. Repertuarem ich jest literatura klasyczna, oraz dobre nowości współczesnych ojczystych kompozytorów.

Na to ostatnie pragnąłbym, aby i nasza filharmonja lwowska, której otwarcie niebawem ma nastąpić, położyła nacisk niemały. Niech nam nikt nie mówi, że niema polskich kompozycji większych rozmiarów, nadających się do symfonicznego programu. Pozwolę sobie wymienić ich kilkanaście, a więc trzy symfonje Zygmunta Noskowskiego, tegoż uwerturę „Step“, koncerty fortepianowe Stojowskiego, Paderewskiego, uwertury Żeleńskiego, Grossmanna, Gawrońskiego, Dłuskiego, Bersona, wreszcie sporo dobrze brzmiących i z talentem napisanych mniejszych dzieł orkiestrowych Dłuskiego, Karłowicza, Maszyńskiego, Hoffmanna. Wystarczy to na początek,

nadzieja usłyszenia dzieł własnych w dobrem wykonaniu będzie niezawodnie bodźcem do powiększenia się produkcji ojczystej na tem polu. Tak jak dobry teatr wielce się przyczynia do pobudzenia twórczości literackiej, tak i wzorowe wykonanie dzieł muzycznych pobudza twórczość młodych kompozytorów, szukać im każe nowych pomysłów i coraz efektowniejszych dla nich szat i kolorów. Podwójny zatem winien być cel naszej przyszłej filharmonji: Dawać jaknajpiękniejsze wzory i pielęgnować wzrost tego, co się na nich kształci. Na drugi plan schodzą w moich oczach koncerty wirtuozów. Rozliczne ajencje koncertowe w Niemczech, Włoszech i Francji rozsyłają po świecie setki wirtuozów wszelkiego rodzaju, zachwalając ich instytucjom koncertowym z reklamą czysto amerykańską. I tu pragnęlibyśmy widzieć jak najwięcej artystów polskich — wszak spora ich liczba, głośnych i najgłośniejszych — a jeżeli zjechać ma do nas cudzoziemiec, to niechaj nim będzie artysta z bożej łaski, mistrz prawdziwy, który zmusza nas do podziwu i wiele nauczyć może. A przedewszystkiem niechże nam ta nowa filharmonja nie sprowadza legjonu pianistów, nie każe ciągle słuchać rapsodji Liszta, balad i etud Szopena, walca Moszkowskiego, rzeczy, przy których każdy dzisiejszy fortepian koncertowy dyszy i bokami robi!

Pragnąćby należało także, aby śpiewacy lub śpiewaczki, których nazwiska zapowiada afisz filharmonji, nie częstowały nas ośpiewanemi do syta arjami, z „najulubieńszych“ oper, ale sięgnęli do skarbnicy pieśni, której bogactwo jest nieprzebrane. Pod tym względem nabrałem dziwnego doświadczenia. Idę o zakład, że chyba jeden na stu śpiewaków koncertowych tworzy sobie repertuar według własnego upodobania; nie zadaje sobie trudu wyszukania pieśni odpowiedniej dla swego głosu i usposobienia, jeno uczy się z reguły tych pieśni, które śpiewa ten lub ów głośny i modny śpiewak. W tem leży poniekąd tajemnica dlaczego z kilkuset pieśni Szuberta, Szumanna, Griega, Franza i innych tylko kilkanaście jest, że tak powiem, w użyciu, a reszta leży odłogiem. Musi to już być śpiewak niezwykłej inteligencji, artysta myślący, który układa sobie program samoistnie, według własnego upodobania i smaku. Takich mamy niestety bardzo niewielu, nasze tenory zawsze jeszcze obracają się w błędnem kole dwóch arji ze „Strasznego dworu“ i „Halki“, paru włoskich romansów w guście „Vorrei morire“ lub „Si tu m'aimais“, albo sycyljany z „Cavallerji“. Nasze barytony i basy siwieją na arjach z „Żydówki“, Hernaniego, na münchheimerowskim „Czarnym krzyżyku“, piosnkach Troschla i Kratzera. Byłoby więc do życzenia, ażeby śpiewacy polscy zwrócili się do polskich pieśni, których, dzięki Bogu, nie brak wcale. Żeleńskiego „Jarucha“, „Tęsknota za zimą“, „Niepodobieństwo“, cały szereg pieśni jego do słów Kościelskiego, Żmichowskiej, Słowackiego, Krasińskiego, kilka pieśni Zygmunta Noskowskiego, Paderewskiego, długi szereg ślicznych piosenek Niewiadomskiego do słów Mickiewicza i Konopnickiej, a wreszcie niejedna prawdziwa perła, ukryta w mało dzisiaj znanych śpiewnikach Moniuszki, to materjału dosyć — dla naszych sopranów, tenorów i barytonów. Jest więc co śpiewać i w czem wybierać, trzeba tylko chcieć zabrać się do tych rzeczy i włożyć w nie talent i całą umiejętność artystyczną.

Wierząc, że kierownicy powstającej w naszem mieście, a tak ważnej dla naszego świata muzycznego instytucji, ożywieni są jaknajlepszemi dla sztuki polskiej chęciami, życzę filharmonji lwowskiej najlepszego a długiego powodzenia.

Jan Gall.



15)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Z warstwami kulturalnemi dzieje się zupełnie tak, jak z pokładami geologicznymi. W teorji istnieją one w pewnem idealnem ułożeniu warstwowem. W praktyce zaś, w przekroju rzeczywistym ziemi, łamią się one w najrozmaitszy sposób, lecz mimo to, oko geologa sprowadza je do właściwego następstwa w czasie i przestrzeni. Współczesny język, sztuka, budownictwo, obyczaje, są też taką w rozmaitym kierunku przekrawującą się plątaniną pokładów kulturalnych z najrozmaitszych czasów i ziem. Przydzielenie jednak każdej warstwie z osobna, według jej złożenia i charakteru, to co do niej należy, w dziedzinie słownictwa, mieszkania, gospodarstwa i sztuki stosowanej, jest celem poważnego studyum o historycznej kolejności form mieszkalnych. Ponieważ mieszkanie jest najbliższą funkcją zmienną, zależną od form gospodarowania ludzkiego, a te znowu korzeniami swoimi tkwią w przyrodniczych warunkach otoczenia i prawa dziedziczności, przeto z natury rzeczy samej wynika, że historja mieszkania jest w istocie częścią dziejów cywilizacyi w ogóle. Przystąpmy tedy do odszukania tych warstw kulturalnych w konstrukcji i zdobniczości, przez które przechodził lud Rzeczypospolitej polskiej i z nim pokrewne zachodnie słowiańskie sąsiedztwo.

Dane ze słownictwa wzięte stwierdzają, że obok jaskini — namiot, pokryty skórą lub pilśnią, służył jako mieszkanie w czasach stepowej wędrówki naszych przodków. Daje to do zrozumienia ustęp z listu Józefa króla Chazarów, do rabbi Chasdaja z 9-tego stulecia, gdzie mówiąc o Słowianach z północy (nad Dnieprem) graniczących, tak się wyraża: „aż do rzeki północnej Jaik (Ikwy zapewne), ludzie żyją w osadach bez murów włócząc się po całym stepie aż do granicy Hangryn (Węgier). Słowo „mur“ brać tu należy w znaczeniu stałej budowy, bez względu na to, czy to jest drzewo, czy mur kamienny lub cegła, jak to też wynika z wyłożenia tego słowa w języku łacińskim. — Osady te nie były więc budowane ani z drzewa, ani z kamienia, ale, jak to włóczącym się jest z tem do twarzy, sterczały jako namioty z pilśni lub skóry uczynione. — Jakiż kształt może mieć ów namiot? — Profesor Karłowicz który w „chacie polskiej“ (Przegl. fizjolog. tom IV), roztrząsa to pytanie, powiada krótko: „Chata Arjów była wspólna“, a więc pewnie i kolista. Prof. Leftmann w dziele zatytułowanem „Arja dawnych czasów“, (*Hellvald-Kulturgeschichte* tom I. str. 250), tak sądzi o tem: „Kilka pni i belek ustawionych pod kątem, w kole opisanym (kształt kolisty jest z natury najstarszym) górne końce krokwi tam gdzie się zbiegają są wpuszczone i utwierdzone, rozpiętość płatwami ustalona, dalej jedno jedyne wyjście tkaniną zasłonięte, dach korą liściem lub słomą wysłany, a schronisko „pod dachem , gród rodzinny, niemieckie „burg“, aryjskie „pur“, semickie „qur gir“ jest gotowe... wśrodku mieszkania znajdowało się ognisko rodzinne, wokoło łoża całej rodziny. Kto był uboższym u tego dzieci i bydło mieściło się razem pod jednym dachem“.

Również powtórzymy słowa prof. Zimmera (O cywilizacji indyjskiej Roz. V), a będące wyjątkiem ksiąg Vedy: „Ogień weselny spoczywa w pośrodku chaty niby w łonie matki“ — Viollet le Duc w dziele „Histoire de la habitation humaine“, dając zupełnie fantastyczny i co do układu i co do konstrukcji rysunek chaty drewnianej Arjów z kominem (sic!) dość wysokim, zamieszcza jednak ciekawy widok mieszkania przedhistorycznych Pelasgów w Grecji, uczyniony widocznie na wzór i podobieństwo okrągłego skarbca atreuszowego. Natomiast ciekawym przypadkiem jest uczynienie dymnika u szczytu okrągłej budy, (str. 156). — Viollet le Duc wziął go zapewne z widoku grupy budowli assyryjskich na starej płaskorzeźbie. Inny wybitny architekt Charles Garnier w dziele „Habitation humaine“ daje nawet widok tych półkolisto skle-

pionych mieszkań z otworami dymnikowymi u wierzchołka (str. 161).

Wszystkie te zdania powyższe, mniej lub więcej fantazją dopełniane, a nie na szczegółowych badaniach oparte, są jednak w zasadzie słuszne, mylą się natomiast w użyciu materjału na budowę i na pokrycie. Nie mogło być drzewo, a tem bardziej kamień tworzywem budowlanem głównem, bo takiej chaty na stepie przenosić nie można. Technika też drzewna Arjów tak jest nierozwiniętą, że według prof. Zimmera (cyt. za prof. Karłowiczem), Arjowie nie znali zacinania (będącego podstawą techniki w budownictwie drewnianem), a wiązali krokwie (szkielet namiotu) rzemieniami, co zresztą słowa „wiązać, binden“, w powyższem znaczeniu do dziś używane zupełnie potwierdzają, i co sposób wiązania sznurami czy rzemieniami słupów u chat starogermańskich (102) zaznaczony na płaskorzeźbie kolumny Antonina również przypuszczać nakazuje.

Do chaty indyjskiej, której obraz rysują nam pieśni Atharwedy, a które nam Zimmer (Altindisches Leben str. 149) przytacza, należy się odnosić jako do utworu mieszkaniowego znacznie przemienionego przez pewną ilość pokoleń osiadłego życia. Dlategoteż chata „bogata w konie i bydło“, nie może sobą przedstawiać pramieszkania Arjów, również jak i nasze dzisiejsze chaty. Lecz starożytne strofy mimo to zachowały dużo z tego, co jako stepowy system mieszkania uważamy. Przedewszystkiem mieszkanie indyjskie, podobnie jak namiot jest przenośne, a hymn, z którego wyjątki powtarzamy, ułożony jest właśnie na cześć rozbiórki i przenosin takiego domu na inne miejsce. Odpowiednio do tych przenosin, jak w namiocie, zachowana jest konstrukcja. W hymnie (Aw. 9. 3.) tak to wygląda. „O wszystkie skarby przechowująca chato, ciebie rozluźnimy aż do węzłów pochylonych szczeblów, słupków i belek powalonych“.

„Ja to połączyłem, dobrze połączyłem, trwałe węzły powiązałem, stawy goleniowe znając tak, jak rzeźnik, co rozwiązuje je z pomocą Jndry“.

„Rozluźniam ciebie aż do węzłów na krokwiach, na zacięciach, na wiązaniach i na trzcinie, na słupkach bocznych o ty kryjąca wszystkie skarby“.

„Miejscem przechowania ziarna, mieszkaniem Agni (ognia), siedliskiem kobiet i przybytkiem bogów jesteś o boska chato“....

„Chata jest dwu, cztero, sześcio-słupowa, ona zaś w ośmio, dziesięcio-słupowej chacie, pani budowy leży, Agni, jak w łonie matki“ (w pośrodku).

„Choć ciężki z ciebie ciężar, bądź lekką, jak kobietę, chato, przeniesiemy ciebie tam, gdzie nam cię trzeba“.

Z chaty, która ma słupki i pochyłe szczeble wiązane, ogień w pośrodku i jest przenośną wyziera ziarno namiotu wcale wyraźnie.

Zdobyliśmy zaś ze wszystkich powyższych cytat kilka ogólnych określeń, dających jakie takie wyobrażenie o pierwotnem mieszkaniu Arjów. Wiemy więc, że było ono „okrągłe“, ognisko miało „w pośrodku“, dymnik u szczytu i było „wspólnem“ dla całej rodziny. — Złączywszy z naszemi poprzedniemi badaniami, dotyczącemi materjału i techniki budowania, tudzież całości życia gospodarczego, to, co powyżej wymieniono, jako cechy prachaty Arjów, otrzymamy właściwości kształtu i budowy namiotu, jako najprawdopodobniejszego mieszkania w okresie stepowej wędrówki. Zwróćmy się tedy do Kirgizów, którzy żyjąc dziś w bardzo podobnych warunkach, na stepach europejsko-azjatyckich, dali nam już niejeden klucz do wyrozumienia zagadki ciemnej, jaką jest najdawniejsza nasza przeszłość na lądzie europejskim. Geiger, którego cytuje prof. Karłowicz w swojej „Chacie polskiej“, tak je opisuje: „Mieszkanie Kirgizów jest to kibitka, czyli namiot okrągły z pilśni, na szkielecie drewnianym. Z jednej strony znajdują się drzwi przysłonięte zasłoną pilśniową, ognisko znajduje się w pośrodku, a dym uchodzi otworem w dachu“.

Znacznie dokładniejszym jest opis „namiotu“ u Mongołów, ludu koczowniczego na stepach Azji i Europy, dokonany przez pana von Steina w pracy zatytułowanej „o Mongołach“ (Zeitschrift für Ethnologie, rok 1875 vom J., str. 335 i 336). „Ogólne mieszkanie Mongołów, to namiot pilśniowy, czyli jurta (gyr), kształtu, który we wszystkich częściach ich ojczyzny, nawet najwięcej oddalonych jest ten sam. Każda jurta jest okrągłą, i ma zwężającą

się w ostrokrąg górną część, w której znajduje się otwór do wypuszczenia dymu. Boki namiotu odtworzone są z palików drewnianych, złączonych ze sobą tak, że rozciągnięte tworzą kwadratową kratę o jednej stopie w przecięciu. Przy ustawianiu namiotu wiążą tego rodzaju kraty sznurami, pozostawiają jednak w jednej stronie miejsce wolne, w które wchodzą drewniane drzwi, 3 stopy wysokie, o małej szerokości, przez które włazi człowiek do wnętrza namiotu. Namiot jest rozmaitej wielkości, zwyczajnie jednak 12 do 15 stóp średnicy, a do dymnika 10 stóp wysoki, u góry krat i drzwi przywiązuje się drągi (krokwie) i wolnymi końcami wpuszcza się je w otwory kręgu, utworzonego z drewnianych kawałków, krąg ma 3 do 4 stopy w średnicy i tworzy sobą górny otwór i dymniki.

Zwracam uwagę na doniosły szczegół, że modne w językach indo-germańskich wyrazy *„okrągłości* drzewa, belek wchodzących w krąg — góry, wzniesienia i dymu zupełnie dźwiękowo odpowiadają powyższemu opisaniu składu i położenia dymnika w namiocie Mongołów. Tu przytaczam przelotne zestawienie wyrazów. (Pol). *krąg, krokiew, góra* — (grec.) *akra,* najwyższy szczyt — (prus.) *garian,* drzewo lit. — (ukraiń.) *kurta* budować — *kuren*, mała chata w rozwinięciu osada — (ukraiń.) *kuryty,* dymić — (pols.) *kurz* (*kurzawa*) w znaczeniu dym (kurzyć fajkę) — (węgier.) *kör* koło, *görbo krzywić* — (litew.) *kraikan* wciąż naokoło. Wyrazy te zestawione w klan obrazowy tak przetworzyłyby dźwięk zdania, w którem p. v. Stein mówi o powyższej konstrukcji: *U góry krat, gyra, kurenia,* (przy)*kręca* się *krokwie,* które *u góry* w *„kręca* się w *krągłe,* (wy)*kroje kręgu* z *„garianu*“ (drzewa), *kraikan* (w koło urobionego) *Górą kurenia kurzy* się *kur*(z), (*kurzawa* dymu). „Gdy cały szkielet drewniany namiotu już jest złożony, obwija się go ze wszystkich stron pilśniowemi derami, w zimie zazwyczaj podwójnie. Nad drzwiami [(prus.) garian, drzewo drewno — (grec.) dendra (armen.) dzar — drzewo Dzarr-mat(eif). — zaś (niem). Thür Thor, drzwi brama — (pols). drzwirze, (lit.) durrys drzwi — podwoje — (ukrain). ,dweri wskazują, że ta starożytna część składowa mieszkania Arjów również była drewniana] i nad dymnikiem zawieszają okrycia pilśniowe a mieszkanie jest gotowe. — We wnętrzu jego na samym środku robią ognisko, na stronie przeciwnej wejściu ustawiają bogów (Burchanów). Wszystko to razem stanowi, jak obaczymy, jednocześnie najstarożytniejszy typ świątyni, który w istocie swojej niewiele się do dziś zmienił. Z boku kładą narzędzia. Około ogniska, na którem cały dzień płonie ogień, rozkładają się kołdry pilśniowe, na których się siada i sypia. — Mało potrzebującemu koczownikowi nic nie może jurty zastąpić, którą można łatwo rozebrać i na inne miejsce przenieść. Kiedy się ogień pali, jest wcale ciepło, w lecie pilśń nie przepuszcza gorąca! — Rozpatrzmy po kolei, o ile właściwości powyższe mieszkania stepowego przechowały się w widocznych śladach u ludów europejskich. Zacznijmy od kształtu, od „okrągłości“. — Najdawniejszem wiarygodnem świadectwem o wyglądzie mieszkań ludzkich przedhistorycznych, są urny domkowe, przechowujące we wnętrzu swojem popioły ze spalonych zwłok ludzkich. — Wogóle grób, a jest nią w miniaturze każda urna popiołowa, jest bardzo często obrazem doczesnego mieszkania ludzkiego. Łączy się to z utworzeniem się wiary w życie pozagrobowe, na wskróś do ziemskiego podobne. Lud do dziś zmarłemu daje gdzieniegdzie do trumny najulubieńsze przedmioty, nie dziwo też, że kiedyś w odległej przeszłości z grobu czynił również obraz mieszkania. „Nils odkrył w odkopywanych w Skandynawji i urnach wymiary chat ze szyją wejściową Eskimosów, a Much słusznie wyjaśnia domowy kształt relikwiarzy starożytnych chrześcjańskich, mówiąc (złr. 331). „Relikwiarz i urna domkowa okazują się identycznemi, ta tylko zachodzi różnica, że urna pochodzi z czasów pogańskich, a relikwiarz chrześcjańskich“ (cyt, u Karłowicza „Chata polska“).

C. d. n. *Kazimierz Mokłowski.*

EMMA JELEŃSKA

8) Z MIŁOŚCI.

I Wandę miałby wpędzić w ich szeregi! Tę wdzięczną, strojną, kuszącą kobietę, której przejście zostawiało za sobą smugę woni i rozkoszy, której głos podobnym był do srebrzystego strumyka, co skacze, i biegnie, i śmieje się po kamykach, a biała ręka była jak kwiat aksamitny i miękki, o listkach pachnących. Wprawdzie, ona coś czasem wspominała o swych wyższych aspiracjach, o swych dążeniach, ciekawa była wiedzieć, co się robi, co się myśli w koło niej — czytała dużo, i nietylko powieści — słuchała uważniej każdej poważniejszej rozmowy. Tak, wszakże niezaprzeczenie był to umysł otwarty — wcale dobra główka! Ale tego wszystkiego nie można było przecież brać na serjo — a tembardziej budować na tem jakichś poważnych planów.

Wszedł na ulicę wybrzeżną. Tu wiatr głośniej jeszcze huczał i szalał. Ponad ciemnemi wodami w dole, leciał, wyjąc, jak zwierz, zły i rozgniewany. A woda szumiała i pieniła się w niepokoju, i przewalała wielkiemi krami, co, białawe i śnieżne, pędziły w ciemność, w dal... Na ogromnej przestrzeni nieba chmury się tarły, kłębiły — i raz wraz miotały siebie kłębami śniegu — a ten leciał, zrywał się, kręcił się w kółko na cichej ulicy — rzucał się w twarze przechodniów — i rwał dalej w ciemność, w dal...

„Psia pogoda“ !— mruknął Karol, zamrużając oczy przed uderzającą mu w twarz falą śnieżystą, i wsuwając się głębiej w kołnierz przed mroźnym wichrem. Czuł zimno na twarzy, na obmarzłych wąsach, na policzkach, szronem przyprószonych — czuł dreszcze po całem ciele. Mróz wsuwał się pod palto, obejmował mu krzyż, plecy, ramiona — ślizgał mu się po skórze, chłodnym wężem go opasywał. Psia pogoda! Byłby przyśpieszył kroku, ale ciężko było iść prędzej pod wiatr. Innej rady nie było, jak zdobyć się na cierpliwość.

Myśli jego porwóciły do dawnego tematu. Nie, żonę ma dla siebie. To mu wolno. Sam na usługi społeczeństwa — nie żałuje ani czasu swego, ani myśli, ani pieniędzy. Rusza się, pisze, organizuje, porusza innych, wynajduje środki, namawia, prosi, zbiera, łączy rozproszone siły. Robi co może. O, nie jest z tego dumnym bynajmniej, uważa to za obowiązek — zresztą, kocha te dzieła, do których przykłada rękę. Ale tak jest. Sumienie ma spokojne. Więc już przynajmniej niech żonę ma dla siebie, niech mu jej nie odbierają i niech nie każą tej miłej główce łamać się nad poważnemi i zwykle smutnemi zadaniami. Niech przynajmniej, wróciwszy do domu, odpocznie od tego społeczeństwa, i ludzkości, i oświaty, i umoralnienia, i wpływów, i uświadomień, i rozbudzań — i niech już o tem nie słyszy. I niech odpocznie!

Czuł się bardzo dzisiaj zmęczony. Cały ranek spędził w sądzie, gdzie się rozstrzygała ważna dla niego sprawa, ważna moralnie i finansowo. Prowadził obronę — i wygrał. Ale ciężkie to było i mocno był rozstrojony. Głodny, zdenerwowany wrócił do domu na obiad, lecz nie zastał Wandy, tylko kartkę od niej — że przyjechała Julka z Warszawy, bawi od pociągu do pociągu i z sobą ją zabiera na cały dzień. A natomiast, w jego gabinecie siedziała klientka, nieznośna, procesująca się wiecznie wdowa, która mu przez dwie godziny tłumaczyła dawno już znane i doskonale zrozumiane interesy. Ledwie się jej pozbył, gdy przyszło wezwanie na wieczorne posiedzenie w sprawie ważnej, mocno go obchodzącej i której był inicjatorem najgorliwszym. Nie pójść było niepodobieństwo.

Czuł się więc bardzo zmęczonym. I teraz, idąc wśród tumanów śniegu, wśród poświstu i wycia grudniowej nocy, myślą biegł do swego domu. Cicho tam, ciepło, pachnąco i jasno — czeka go żona — ta młoda, wytworna kobieta, o białych dłoniach i cudnym, jak jutrzenka uśmiechu. I podniesie na niego rozkochane oczy i obejmie go ramieniem i przytuli do swej piersi i da mu napawać się swą młodością, swą wonią, swą słodyczą — i da mu pić nad wszystko słodki, a zawrotny czar swej miłości. Pomimo wiatru, przyśpieszył kroku. Ach, ten cichy dom swój! własny dom!...

Franciszek otworzył drzwi. Ot, psia pogoda!... zauważył, strząsając śnieg z palta pańskiego. „Czyste utrapienie! Wyje — aż człowie-

kowi źle robi się. Mrozu pokazuje ośm stopni. A pan — to nie mógł nałożyć futra — tylko w tym paltociku“...

— Pani jest?

— A jest. Dawno już wróciwszy.

Ciemno było w salonie. Tylko z przymkniętych drzwi buduaru przeglądała struga światła. Jest tam — siedzi pod lampą, pochylona nad książką — otulona w miękkie wełny — ciepła i jasna. Karol widział już jej ciemną głowę, gruby węzeł jej włosów i białą rękę, na której wspierało się jej czoło. Widział najwyraźniej. Ach przy niej odpocznie!

Niecierpliwie się ruszył. Ale jakby się tej niecierpliwości zawstydził, zatrzymał się, stanął przed lustrem i począł ocierać ze śniegu twarz i wąsy.

Wszedł wreszcie. Ona stała przy oknie. Nie tak jak ją sobie wyobrażał, pochyloną w świetle nad książką. Stała prosta, wysmukła, w opadających dokoła fałdach długiej szaty, z podniesioną głową. Na jej policzkach rozkwitały wypieki. Stała milcząca — a jednak w powietrzu drgały jakieś nieznane słowa, cisza mówiła jakimś nowym, obcym głosem. Przez ten pokój przelatywał jakiś obcy duch. Coś tu zaszło — ktoś tu był.

On zatrzymał się przy drzwiach, ogarnięty jakimś dziwnym lękiem. Nie śmiał dalej postąpić. A ona patrzała na niego, jakby nie widząc — dziwnemi, obcemi oczami, które zdawały się odbijać w sobie jakieś dalekie rzeczy. Dreszcze po nim przeszły.

Aż nagle zrobiła głową ruch, jakby coś ze siebie strząsała, i do niego podeszła. A twarz jej cała rozjaśniła się w uśmiechu, rozbłysła białością zębów i blaskami oczu, ożywiła się, i stała się dobrą, codzienną, kochaną. „Tak ciebie czekałam!“ rzekła. „Tak ciebie czekałam!“ I westchnęła głęboko — i głowę mu położyła na ramieniu. A było w jej ruchu ogromne znużenie — nie radość z powodu przyjścia tego, którego czekała — nie roztwarcie serca i ramion ku niemu — ale tęskne, zbolałe, ogromne znużenie.

On to odczuł. „Co ci jest, Wando?“ szepnął zaniepokojony. „Co się stało?“

— O, nic, nic — odrzekła i zaśmiała się. — Nic się nie stało. Tylko... muszę ci wszystko powiedzieć... wysłuchaj mnie! Bo sama niewiem... nie rozumiem...

I pociągnęła go do kanapki, na której usiedli. Pod lampą, w okręgu światła, piętrzyły się książki i pisma o jaskrawych okładkach.

— Wiesz — Julka była. Jechała do matki męża. Bawiła kilka godzin — razem je spędziłyśmy. I miała z sobą całą paczkę tych nowych rzeczy — część mi zostawiła do przejrzenia. Tak byłam tego ciekawa! tyle teraz o tem mówią. Więc po jej wyjeździe, siadłam i czytałam. I wiesz... tam są dziwne rzeczy...“ —Znowu patrzała przed siebie tym wzrokiem, co nic nie wiedział, co gdzieś sięgał daleko, poza widome granice — gdzieś w przeszłość, czy w przyszłość. —„Tam są dziwne rzeczy“, powtórzyła. I szkliste, przelękłe oczy zwracała w kąt pokoju. „I prawdziwe... ach, jakie prawdziwe!“ szepnęła.

— Wando! moja Wando! — odezwał się on, zaniepokojony. — Nie rozumiem o czem ty mówisz. Jakie rzeczy? co? Po co ty czytasz te jakieś brednie — i głowę sobie zawracasz...?

A ona nagle schowała twarz w dłonie i przytuliła się do niego. „Lękam się... lękam się...“ powtarzała.

Objął ją, przycisnął do siebie, przygarnął i gładził jej rozognioną twarz. Ale nie rozumiał nic. Czy jakieś tu widma stawały przed nią? czy jakieś wywołane z tych przeklętych książek duchy ją straszyły, czy co u licha? Czegóż się bała... i trzęsła się teraz jak liść jesienny, rwana jakimś wewnętrznym wichrem, błędna, zrozpaczona. Co jej się stało? Przecie nic nie zaszło — żadne nieszczęście nie groziło nawet. Nerwy chyba.

„I taką chcieliby do poważnej, społecznej pracy wciągnąć! pomyślał.“ Trzymał ją w objęciu, gładził jej włosy, i starał się ją uspokoić. Ale trochę zniecierpliwienia przebijało się w jego głosie, gdy mówił, przybierając miękkie akcenty: „No, dosyć, dosyć, Wando! Nie lękaj się niczego — wszystko dobrze — wszystko w porządku“. I zniecierpliwienie to rosło, i zmieniało się w poczucie krzywdy doznanej. Wszak to on był naprawdę zmęczonym dzisiaj — on tak się napracował! on potrzebował wytchnienia i spokoju, i jej białych rąk na swem czole. On miał prawo do jej wesołości, do jej uśmiechu — on chciał odpocząć na jej łonie. Obowiązkiem jej było dać mu wesele i jasność. Dla niej pracował, dla niej dźwigał ciężki trud — ale za to żądał spokoju.

Ona podniosła wreszcie głowę, odgarnęła z czoła włosy, i mówić zaczęła smutnym, zroz-

paczonym głosem: „Bo to prawda. Życie jest straszne, straszne jak piekielna męka. I ta niepewność — ta nieświadomość tego co nas otacza. Zkąd my przybywamy — po co tu jesteśmy? dokąd idziemy? Gdzie nasz początek — a koniec nasz gdzie? Czy wogóle jest koniec dla nas? Śmierć! — czem ona jest? czy śmierć jest końcem — czy też początkiem? A gdzie jest Bóg? Mówią, że On dobry i wszechwładny, a ten świat — dzieło Jego — aż dyszy nienawiścią, zemstą, rozpasaniem... I wszędzie ciemno — ciemno — okropnie... Przesunęła rękę po czole. „I szczęścia niema naprawdę. Tu tylko oszukaństwo — są tylko marzenia o niem, ale szczęścia niema. Za młodu marzy się o szczęściu, o miłości — a potem, jak ona przyjdzie — ta miłość — to... to bańka mydlana, której uchwycić nie można... I posłuchaj, co ten o niej mówi“. Wzięła ze stołu dużą książkę, w czerwony papier oprawną i czytała: „Peryforycznie może miłość być szczęściem. Wszak ona tak cudownie potęguje siły ducha, tak wspaniale syci wrażenia zmysłowe i tak podstępnie usidla mózg, że jak kulka rulety toczy się wokół kilku słupków granicznych chwilowej błogości. Ale prastara, odwieczna dusza, potężny Król-Duch co przeżył wszystkie burze rozwoju, wszystkie szały rozrodcze, oszukać się nie daje. W głębiach tej „nagiej duszy“ odczuwa się miłość jako wiecznie kolący ból, gryzący wampir i męczarnie. Nie módz nigdy zrzucić jarzma kobiety, nigdy i nigdy nie módz zaspokoić wiecznie głodnych demonów żądzy. I wśród najsilniejszego rozkwitu szczęścia, wybucha nagle lawa ognista starego wulkanu — i nadchodzi chwila, w której się poznaje, że całe to szczęście — to szczęście robaków, które słońce na śmieciach wylęgło“. A dalej tak mówi — i doprawdy, może on ma rację“. Przewróciła stronicę i czytała: „I wciąż jedno i to samo bolesne przeświadczenie, że mężczyzna i kobieta to dwie zupełnie różne, i różnie zorganizowane istoty, z których każda inaczej odczuwa, inaczej myśli, jedna drugiej nigdy zrozumieć nie jest w stanie, a jeżeli kiedykolwiek się zdarzy, to jedynie tylko za pomocą zgwałcenia jednej duszy przez drugą“. „Ach, czyż tak jest naprawdę? czyż tak — czyż tak?“ Znowu jej oczy stały się przerażone i błędne. Załamała na kolanach ręce. „Więc po cóż my żyjemy? po co?“

Karol spróbował ją uspokoić. Zapomniał wobec jej smutku, o własnych prawach i żądaniach i zaczął mówić — że chociaż zagadka naszego bytu jest niewyjaśnioną, wierzyć w to musimy i powinniśmy, że jakaś wyższa i dobroczynna Wola rządzi nami — że nas ona prowadzi ku jakimś szczytom, ku jakiejś szczęśliwości — że nie jesteśmy rzuceni we wszechświecie na pastwę przypadkowi — że ponieważ wszystko dokoła nas ma swoją rację bytu i swój cel, więc i my także jesteśmy świadomie kierowani ku jakiemuś celowi.

— Zresztą — mówił — najmądrzej i najpraktyczniej jest o tych rzeczach nie myśleć. Ani ich zbadać, ani przerobić nie jesteśmy w stanie — więc pocóż sobie życie zatruwać daremnie, i wpadać w takie rozpaczliwe zwątpienia? Po co sobie i innym odbierać spokój wymyślaniem i wypatrywaniem nieszczęść dokoła, zagłębianiem się w tajemnice jakieś, z których żadnej realnej korzyści nikt nie osiągnie? Czy nie lepiej żyć po prostu, poczciwie, zacnie, pożytecznie, i, o ile Bóg da szczęśliwie — i umysł zwracać ku prawdziwym biedom i potrzebom społecznym, ku dotykalnym sprawom? Nie brak ich i u nas, niestety!—Westchnął, bo wspomniał o tylu zasłyszanych dnia tego faktach, o tych prawdziwych, namacalnych, w oczy bijących nieszczęściach, nad któremi przez wieczór cały radzono w kółku jego przyjaciół. Mój Boże! jakież to było bliższe i prawdziwsze nad te wszystkie zaświatowe desperacje, nad te weltschmercy i nadczłowiecze bóle! — Ale ona tych blizkich swoich nie widziała — a biedną swą główkę łamała nad zbadaniem zagadki ludzkiego bytu, nad rozwiązaniem ognistego pytania: Po co my żyjemy? — Biedactwo! i na co jej ta męka? na co udręczenie to bezpłodne i niepotrzebne?

Ona siedziała spokojnie teraz i słuchała jego słów. Czasem potrząsała głową, bo jej nie przekonywały. Ale cisza jakaś wstępowała w nią, i zaczynało jej być dobrze. Od tak dawna, od tak dawna nie rozmawiała z nim tak — w zaciszu wieczornem, opleciona jego ramieniem, z twarzą przy twarzy. I chociaż to, co mówił, nie trafiało do jej umysłu, głos jego i ta blizkość ukochanego łagodziła jej nerwy i przejmowała ją otuchą. Umysł, w samotności panujący swobodnie, teraz kapitulował przed nim, przed potężnem działaniem jego umiłowanej obecności. Serce wezbrane od dawna bólem, niepewnością, tęsknotą i nieznośnym smutkiem, teraz zatajało i rozgrzewało się przy nim.

— Zresztą, może on miał rację — może lepiej

nie myśleć o tych wszystkich strasznych rzeczach, a żyć, o ile Bóg da, szczęśliwie. Szczęśliwie...? ależ właśnie o szczęście tu chodzi! O szczęście i o miłość...! A miłość jest taka smutna — taka straszna! Tyle zawodów z sobą niesie!

Spytała zcicha: — „A miłość? czy jest szczęściem, Karolu?“

On się zawahał, bo nagle stanęła przed nim wątpliwość: czyby ona z nim czuła się nieszczęśliwą? Nie, nie! co za przypuszczenie! To wszystko — to były nerwy — rozkołysane — rozdrażnione czytaniem niemądrych książek, może zbytnią samotnością. — To wszystko przejść musi, rozwiać się i przeminąć. Przecież to natura dobra, zdrowa i odporna. Tylko trzeba ją co prędzej uspokoić.

Pochylił się nad nią nisko, tak, że twarz zagłębił w jej włosach. Woń ich ciepła i żywa odurzyła go. Zaczęły mu drobne dreszcze przebiegać po ciele. Jakąż ona była zawsze powabną i nęcącą dla niego! Jaki przedziwny nektar wlewała w jego żyły! Półtora roku minęło, jak ją wziął, a coraz to nowe w niej odkrywał czary. I dziś ten tragizm w jej twarzy — ta głąb' przepaścista wejrzenia — ta jej ponura namiętność — ten wywołany przez nią powiew z zaświata — Nie! w głowie mu się kręciło...

— Czy miłość jest szczęściem, Wando! — szepnął jej w odpowiedzi — dla mnie jest największem — najsłodszem — jedynem. — Dla mnie, ty — to raj, ty cudna, ty, kochanie...

Rozgrzewał się własnemi słowami. Czuł także, iż rozgrzewa i ją. Oplótł ją ramionami, przylgnął całem ciałem, ustami wpił się w jej szyję.

Ona przymknęła oczy. Ach, jak jej było dobrze! Złe duchy, straszne mary i wizje znikły. On był jej — on był z nią — on, ukochany! Ach! być jego — jego całkowicie, bezgranicznie a zresztą, niczem świat cały... Stopić się z nim — złączyć — zlać w jedno...! „Mój ty miły, najmilszy...!“

— Wando, skarbie! złoto moje! — szeptał z uniesieniem.

* * *

W przymglonym, tajemniczym półcieniu sypialni leżała nieruchoma, z szeroko otwartemi oczami.

Tysiące myśli wiło się, ruszało się pod jej czaszką, zdawało się ją rozsadzać. Świat — życie — nieskończoność żądz — głucha ściana, o którą uderzał umysł ludzki, gdy chciał spojrzeć w dal — odwieczny znak zapytania — nędza realnego życia — nędza złudzeń i mar — piekący ból rozczarowań — i tęsknota... tęsknota... tęsknota...

Za oknami, wicher grudniowy wył, jęczał, miotał się w takt jej myśli. Rzucał o szyby kłębami drobnych igiełek śnieżnych, jakby dając znać, że czuwa, że rozpacza z nią wespół, że jest też błędny i nienasycony.

Jeszcze nie to, o nie! — Ona czego innego chciała — ona tęskniła do pełniejszego zjednoczenia, do pełniejszej miłości — do zlania się duchów. — Czy taka miłość istniała, nie wiedziała. Ale jej — jej jednej — pragnęła. O niej tylko marzyła w swych dziewiczych snach, do niej szła z wyciągniętemi ramiony. Wszystko inne było ułudą i mydlaną bańką — było bólem i zawodem. Wszystkie inne, pomimo chwilowego szału, co ogarnia i porywa, pomimo pozorów słodyczy i rozkoszy — wszystko inne jest „szczęściem robaków, które słońce na śmieciach wylęgło“.

Spojrzała na męża. Spał. — On zawsze spał wtedy, gdy nią miotała burza! On ani wiedział, ani wiedzieć chciał o tem, co się dzieje w jej duszy! Co jej dziś odpowiedział na rozpaczliwe słowa? pierwszy raz przecie garnęła się do niego o światło, o ratunek. Cóż jej odpowiedział? — Że najlepiej o takich rzeczach nie myśleć. — Płytka, banalna rada! — A czem ją chciał uspokoić, czem ukoić jej wzburzenie? — Oto wybuchem swej zmysłowej, mękkiej żądzy — miłosną nocą — grubą, ordynarną prozą małżeństwa!

Ach!

I co nad wszystko smutniejsze, — to że ją tem ukoił, że ukołysał jej duszę, a rozpromienił zmysły. I ona się poddała, i to poddała z lubością — i na równi z nim szalała i mdlała w rozkosznym spazmie — i przez chwilę zginął dla niej świat cały, i dusza, i uczucie, i marzenia, i ideały — i była tylko ciałem pałającem, ciałem rozmiłowanem — tylko ciałem... ciałem.

O, wstydzie! O, wstydzie!

Czuła, jak rumieniec wystąpił jej na twarz i zalewał jej policzki, czoło.

Teraz, gdy minęło odurzenie, pozostał wstyd i... obrzydzenie. — Związek dwóch ciał uświęcało jedynie dziecko — ta przyszłość wykrzesana w chwili rozkoszy — a także mogło tłomaczyć zjednoczenie dwóch dusz w imię wielkiej idei, zlania się w jedno ku pokrzepieniu i wzmocnieniu.

Lecz gdy tego nie było — czemże stawał się ów związek? Chwilą zapomnienia, po której następowało obrzydzenie i wstyd — „szczęściem robaków, które słońce na śmieciach wylęgło“.

Śnieg stukał w szyby nierównem, przyspieszonem, to znowu wolnem tempem, wicher wył.

O! czy nigdy, nigdy tamtej miłości nie zazna? Tej wielkiej, pięknej, co swą wspaniałością i tę marną, zmysłową uświęca! — Czyż naprawdę: „mężczyzna i kobieta to dwie zupełnie różne i różnie zorganizowane istoty, z których każda inaczej odczuwa, inaczej myśli, jedna drugiej nigdy zrozumieć nie jest wstanie?“

Nigdy...?

(C. d. n.)

Narodowe pierwiastki emigracji.

(Dok.)

Kolonizacja rolnicza z Czech lub Dolnej Austrji, z krajów, gdzie w rolnictwie nastąpiła już specjalizacja, gdzie się ona przystosowała do wymagań pobliskiego, przemysłowego rynku, nie jest tak odpowiednią dla Bośni, jak kolonizacja ruska, gdyż nieskończenie dalej odbiegła ona od stosunków Bośni, niż ta ostatnia i trudnem jej byłoby wiele rzeczy zapomnieć, od wielu wymagań kultury odzwyczaić się.

P. Buzek zwraca słusznie uwagę na to, że Austrja dla wzmocnienia swego wpływu na wschodzie, musi wzmocnić swój posterunek w Bośni przez kolonizację. Ale interes państwowy Austrji nie pozostaje w ścisłem oddziaływaniu z interesem narodowym ważniejszych ludów Austrji, opiera się w bardzo znacznej mierze na podstawach interesu dynastycznego, nic więc dziwnego, że Austrja zaniedbuje tę ważną sprawę. Biurokratyczna Austrja widzi w Bośni głównie rynek zbytu dla swej biurokracji, stąd jedna piąta przypływu ludności z Austrji do Bośni składa się z emigracji inteligencji, jedna trzecia tylko z kolonizacji rolnej.

Czy w razie odpowiednich ułatwień ze strony rządu kolonizacji ruskiej w Bośni, emigracja Rusinów do Bośni leżałaby w ich interesie? Czyż może nie lepiej byłoby, gdyby ludność zgęszczając się szybkim pędem we Wschodniej Galicji, parła ten kraj do intenzywnej kultury ekonomicznej? Dla uniknięcia nieporozumienia, musimy dać odpowiedź na powyższe pytanie: Niezaprzeczenie istnieje pewna zależność w stopniu intenzywności kultury ekonomicznej kraju i gęstości jego zaludnienia. Jednak wzrost gęstości zaludnienia nie zawsze sprowadza wzrost intenzywności kultury w kraju, gdyż zależną jest ona nietylko od ilości rąk zdolnych do pracy, ale i od środków materjalnych, jakiemi te ręce rozporządzają; bez odpowiedniego wzrostu roboczego inwentarza, bez środków na lepsze pługi, potrzebne do głębszej orki, bez przemysłowych centrów, wytwarzających rynki na nabiał i inne produkty rolne — niepodobna zwiększyć intenzywności kultury rolnej w stopniu odpowiadającym naturalnemu przyrostowi ludności. Emigracja części małorolnej ludności ułatwiająca pozostałej zaokrąglenie gospodarstw, jest w wielu wypadkach wogóle, między innymi i w rolniczej Galicji, środkiem olbrzymiej wagi dla podźwignięcia ekonomicznego tego kraju.

Emigracja do Bośni wzrasta z Galicji; gdy w 1880 r. na 2.669 austrjackich obywateli w Bośni było z Galicji tylko 172, w 1895 na 24.018 austrjackich obywateli w Bośni widzimy już 2.418 z Galicji. Największą ilość kolonistów do Bośni daje Dalmacja. W r. 1895 liczyła ona tam

6.446 swych przedstawicieli. Fakt, jakkolwiek w znacznej mierze zależy i od geograficznej bliskości Dalmacji do Bośni, jednak potwierdza nasz powyżej wyrażony pogląd, że najodpowiedniejszymi kolonistami do każdego kraju to ludność kulturalnie do jego mieszkańców zbliżona.

Napływ Czechów do Bośni jest znaczny, z nich rekrutują się urzędnicy i rzemieślnicy w Bośni. Pokrewieństwo językowe, ułatwiające porozumiewanie się z miejscową ludnością, a więc czynnik plemienny odgrywa tu znaczną rolę.

Czynnik plemienno-narodowy przejawia się też w obecnej emigracji żydowskiej w Galicji.

Gdy od 1817 r. ludność chrześcijańska w Galicji podwoiła się, ludność żydowska wzrosła o 4 razy. Stosunek ludności żydowskiej do chrześcijańskiej wzrastał stale w Galicji na niekorzyść tej ostatniej aż do r. 1890. W ostatnim dziesięcioleciu widzimy całkiem odmienne zjawisko, prc. żydowskiej ludności do ogółu ludności kraju spada z 11·66 do 11·08, gdyż ludność żydowska zwiększa się zaledwo o 5 prc., podczas gdy chrześcijańska wzrasta o 10 prc,

Naturalny przyrost wśród ludności żydowskiej jest nader znaczny, przeciętnie około 16.000 rocznie, a więc od 1890 do 1900 przyrost naturalny żydów w Galicji równał się 160.000, z tego jednak wywędrowało około 120.000. Emigracja amerykańska żydów z Austrji w 1898/9 równała się 11.071, w 1899/900 — 16.920. Żydzi galicyjscy wynoszą się nietylko do Ameryki, ale do Bukowiny, krajów południowych słowiańskich i Wiednia.

Ta emigracja żydowska znajduje się w związku z wypychaniem żydów z handlu w zachodniej Galicji.

Mazur wypycha żyda z wiejskiego handlu; odbywa się u nas proces unarodowienia tej ważnej gałęzi życia ekonomicznego. Galicja jest też krajem z nadmiarem handlujących, wszystkie więc próby ulepszenia u nas organizacji handlowej muszą iść w parze ze zmniejszeniem się ilości handlujących.

Z jednej strony emigracja żydowska, z drugiej chrześcijańska wymagają pomocy materjalnej, informacji, środków, broniących ją od wyzysku. Z dodatków do podatków należałoby uformować fundusz emigracyjny, wytworzyć giełdy pracy dla naszej emigracji zarobkowej. Wszystko to są wielkie zadania, do których Austrja jest zgoła niezdolna, gdyż nie jest narodowem państwem.

Ekonomiczno-narodowe znaczenie emigracji posiada liczne objawy. W sprawozdaniu szwajcarskiej Rady Związkowej czytamy: „Gdzie się tylko skupi znaczniejsza ilość wychodźców ze Szwajcarji, tam zjawia się lub rozszerza zbyt na produkty szwajcarskie. Jest to rzeczą zrozumiałą, gdyż człowiek niechętnie pozbawia się swych przyzwyczajeń nawet na obczyźnie, wśród całkiem odmiennych warunków.

Jest to fakt o olbrzymich konsekwencjach ekonomicznych, nie uwzględniany jednak niemal dotąd przez ekonomistów, jest to jeden z czynników podboju obcych rynków. Przykładów na to mogą już dostarczyć nasze stosunki. Pewna firma do eksploatacji nafty na Sumatrze sprowadziła naszych robotników, ci zażądali narzędzi, do jakich przywykli w domu, co wywołało zapotrzebowanie na te galicyjskie narzędzia. W sprawozdaniu dyrekcji emigracyjnej w Argentynie znajdujemy uwagę o naszych emigrantach, że nie są oni bynajmniej konsumentami rynków argentyńskich, że odznaczają się konserwatyzmem swych przyzwyczajeń, żądają bielizny i odzieży, do jakich przyzwyczaili się w kraju. O ile więc na rynku galicyjskim zapanowałyby miejscowe wyroby, o tyle rozpowszechniałyby się one po świecie razem z naszą emigracją, tak polską, jak innoplemienną. Szczęśliwym praktycznym zmysłem wiedzione polskie towarzystwo handlowo-geograficzne, gdy usiłowało wziąć w swe ręce sprawę emigracji galicyjskiej, nie przeoczało zarazem łączności tej sprawy z wywozem galicyjskim.

Ze względu na związek między konserwowaniem swej narodowości na obczyźnie i emigracją, p. Buzek doradza, aby Austrja podtrzymywała narodowość naszych emigrantów w Kurytybie, popierając materjalnie tam szkolnictwo polskie. Możemy być pewni, że Austrja ze względu na to, iż nie jest państwem narodowem, nie dorośnie nigdy do wyzyskiwania narodowych pierwiastków emigracji. Sejm nasz jest bezsilnym, tak ze względu na swe środki i kompetencję, jak i ze względu na swój skład. W obec tego potrzeba prywatnych usiłowań, zrzeszenia sił naszego społeczeństwa dla pracy na polu emigracyjnych stosunków staje się w wysokim stopniu nieodzowną. Powinniśmy ożywić działalność naszego Towarzystwa handlowo-geograficznego, wzmocnić jego środki.

Wł. Studnicki.

NOWA POEZJA FRANCUSKA.

(Dokończenie)

Egotyzm był tonem, którego unikał naturalizm, ale który w Parnasie był potępiony bezwzględnie. Poezja Parnasu była przedewszystkiem nieosobista. Zarzuty, jakie młodzież stawiała nawet tak szanowanym pisarzom Parnasu, jak Leconte de Lisle lub Sully Prudhomme, — były analogiczne do zarzutów stawianych Zoli. Wychowani na pozytywizmie parnasiści, uważali fakt, jako istniejący sam w sobie poetycko, gdy właściwie fakt istnieje tylko, jako wyraz czegoś tajemniczego tj., jako symbol. Zatrzymywali się oni na stronie zewnętrznej bytu, co u Leconte de Lisle'a było zasadą estetyczną, gdyż wszelkie wejrzenie w głąb odkrywało mu próżnię (Nirwanę) albo też przechodzili w zimną dydaktykę, rzekomo na zasadach algebry i chemji, opartą — (Sully Prudhomme). Nadmierna ścisłość wyrażeń, mówienie wszystkiego tak, że się nic nie zostawia marzeniu (suggestji) czytelnika, — robiły z Parnasu rodzaj nowego klasycyzmu. Parnas rzeczywiście ograniczył rozczochranie romantyków, doprowadził ich tytanizm i szaleństwa do granic zdrowego rozsądku (zwłaszcza Fr. Coppée) — i unikał marzenia, cudu, legendy, mistyki, (za wyjątkiem C. Mendésa, którego poemat „Hesperus“ czytany jest śród okultystów). Pessymizm był dość powszechny śród parnasistów, ale ich Nirwana to jedynie zaprzeczenie świata metafizycznego. I Parnas więc, jak naturalizm — ograniczył lot ducha ludzkiego do sfery widzialnej; odtwarzał on pewną stronę życia, ale pominął sferę nad-życiową.

Nadto Parnas, doprowadziwszy kunszt rymopisarski do ostatecznych granic udoskonalenia, — wywołał śród swych adeptów nadmierną łatwość wierszowania, sztuczność ekspresji, wreszcie szablon i monotonję zwłaszcza aleksandrynów (wierszy 12-zgłoskowych). Żadnego nowego akcentu niepodobna było znaleść w tej prozodji; szablon zacierał formę i indywidualność.

Jeden tylko Stefan Mallarmé wynalazł nową esencję ożywczą dla aleksandrynu w nadzwyczajnej kondensacji zdań, metafor, składni; w poczuciu najdalszych analogji zjawisk, które poeta łączy w wyrazy, będące streszczeniem całych szeregów wyrazów. Stąd pewna niejasność jego pism (*c'est un auteur difficile* — mówią o nim), ich tajemniczość i zwięzłość. — Mallarmé, który wyszedł z Parnasu, choć z nim zerwał, zachował jednak pewne zasady parnasowskie: mianowicie podobnie, jak inni poeci tej grupy, a również i Baudelaire, uważał on za pierwiastek kierowniczy twórczości świadomość absolutną celu i środków pracy, nie uznawał instynktu i naturalnej intuicji, ale samowiedną wolą stwarzał to, co stworzyć zamierzał; nadto był on czcicielem tzw. *artificiel*, jako przeciwieństwa surowych rzeczy przyrodzonych, uważał mowę pisaną wogóle za język zupełnie oderwany od mowy codziennej i, o ile proza pisana różnić się powinna od prozy mówionej swym hieratyzmem, o tyle znów wiersz powinien jeszcze głębszą osłonić się tajemniczością wobec prozy pisanej, jako najwyższa mowa człowiecza, nic wspólnego prawie z naturą nie mająca. — Mimo rozmaitych naruszeń tradycji poetyckiej, do ostatnich niemal czasów Mallarmé zachował aleksandryn. On pierwszy za to używał świadomie symbolu.

Paweł Verlaine, drugi mistrz młodych pisarzy, był pod wielu względami przeciwieństwem Stefana Mallarmé. Był on wcieleniem twórczości nieświadomej, której nadawał zapach leśnego poranku — i tym zapachem przenikał swoje utwory. Miał on prostotę dziecka i dzikiego fauna zarazem; cywilizacja nader powierzchownie, zdaje

się, dotknęła tę duszę: i zachował on w sobie coś z wędrownych śpiewaków XIII. w. Był to człowiek kapryśny i w wiekuistej walce z samym sobą, już to w grzechu pogrążony, już to oddany pokucie i modlitwie. Jeżeli bogiem Stef. Mallarmé był Hegel, to znów P. Verlaine modlił się do Marji Dziewicy, której całą księgę litanij ofiarował (Sagesse). Jego estetyka opierała się na wewnętrznej melodji, która w danej chwili (impresjonizm) gra w piersi poety: z tego wynika, że poecie zostawiona swoboda tworzenia i układania własnych rytmów. Verlaine zasady tej nie nadużywał; miewał on wiersze nierówne, swobodne, dłuższe i krótsze, po 14 sylab i po 3, ale rytmu jego znaleźć nie trudno. Zazwyczaj jednak trzyma się prozodji tradycyjnej.

Z Mallarmé'go przyjęli nowsi poeci głównie jego metafizykę i teorję symbolu; znacznie więcej zapożyczyli z Verlaine'a. Głównie zaś faktura jest raczej Verlaine'owska u młodych liryków. Licencje Verlaine'a stały się dla nowszych poetów źródłem reform, mających stanowić *corollarium* reform Wiktora Hugo. Swoboda bezwzględna rytmiki, zarzucenie sztucznej prozodji aleksandrynu, poszukiwanie melodji osobistej, właściwej każdemu poecie w szczególe. Innemi słowy, każdy poeta ma nietylko własną osobistość, ale też własną muzykę duszy i własną prozodję.

Reforma ta w technice zowie się *vers libre*, stąd *verslibrisme*. Za istotnych twórców werlibryzmu uważani są: J. Laforgue i G. Kahn, którzy pierwsi — po Verlainie — zarzucili tradycyjny, prawidłowy aleksandryn i stale zaczęli uprawiać kapryśny, dowolny, nierówny wiersz, już to rymowany, już nierymowany, to znowu rymowany przez asonanse i aliteracje. Słowem, jest to forma pośrednia między wierszem a prozą, przyczem każdy autor wynajduje własną rytmikę swego werlibru i własną, nieraz bardzo osobliwą, składnię.

W języku polskim sprawa wolnego wiersza jest znacznie prostsza — i nie nastręcza prawie żadnych trudności. We Francji przeciwnie, stała się ona kwestją gabinetową między Parnasem a symbolizmem i np.: Sully Prudhomme w swoim „Testamencie poetyckim“ wprost anatemę rzucił na werlibrystów. Sprawa wolnego wiersza stała się z czasem główną niemal sprężyną całego ruchu poetyckiego — i ostatecznie wszyscy t. zw. symboliści piszą albo wierszem wolnym, albo wielce kapryśnym aleksandrynem. Do zasad Parnasu należała tzw. *rime riche;* symbolizm przeciwnie, ceni bardzo rym niedbały, a nawet pół-rym, jak u nas w pieśniach ludowych (kamień — na nim, wieńce — tęcze). — Wiersz wolny uprawiają zwłaszcza, prócz jego wynalazców: H. de Regnier, V. Griffin, Verhaeren i inni.

Są jednakże symboliści (Moréas, Rodenbach, Quillar etc.), którzy zachowali dawną prozodję, a H. de Regnier wrócił do klasycznego aleksandrynu.

Niepodobna nam w tym krótkim rzucie podawać szczegółowych charakterystyk pojedynczych poetów, a suchy spis nazwisk byłby bezużyteczny.

Podamy tu jedynie wykaz najważniejszych pisarzy, głównie zaś tych, których przedstawia M. Bearnier w swej *Poesie nouvelle.* — Prócz Stefana Mallarmé i Pawła Verlaine'a — ważną rolę jako zwiastuny nowej poezji odegrali: Artur Rimbaud i Tristan Corbière.

Obaj oni zostali nazwani *Poetes maudits* — Poemacik A. Rimbaud „Okręt Pijany“ w swoim czasie wywołał furorę; miewał on szczególne kaprysy fantazji, jak n. p. sławny „Sonet o samogłoskach“. Proza jego pełna nadzwyczajnych metafor. Ma on pewne pokrewieństwo z Fr. Nietzschem. Był on poetą od 15 do 21 roku życia; potem zniknął i rzucił się w jakąś awanturniczą włóczęgę.

Umarł 1895 r.

T. Corbière (1845—1875). Sam sobie ułożył taki nagrobek:

Mélange adultère de tout,
De la fortune et pas le sou,
De l'énergie et pas de force,
La liberté mais une en torse,
De l'idée et pas une idée,
De l'amour et pas une aimée,
La paresse et pas le repos etc.

Wspominaliśmy już o roli J. Laforgue'a i G. Kahna, jako twórców wolnego wiersza. J. Laforgue († 1887), wykształcony w Niemczech, wyznawał hartmanowskie *Das Unbewusste,* a w poezji odznaczał się głęboką, filozoficzną bufonerją. Umarł, mając lat 27. Ogłosił *Comp laintes, Imitation de Notre Dame, La Lune* i t. d. — G. Kahn — umysł raczej teoretyczny niż twórczy, w wielu rzeczach dał inicjatywę i ma duże znaczenie w historji symbolizmu.

J. Moréas, Grek z pochodzenia, jest przywódcą tzw. szkoły romańskiej; A. Gide — stoi na czele ideo-realistów. Są nadto inne podgrupy, jak naturyści, szkoła Tuluzy, poeci socjalni (Quillard, Gregh i inni). — Stuart Merill jest wytwornym melodystą. Paul Fort ma szeroki rozmach dawnych romantyków — i plan jego ballad francuskich obejmuje niemal cały świat. Saint-Pol-Roux, twórca tzw. magnificyzmu, jest to poeta w stylu barokowym, w rodzaju dawnych Gongorystów. Osobno stoi Rene Ghil, samotny przedstawiciel szkoły, zwanej *évolutive-instrumentiste.*

Najwybitniejsi z pośród nowych poetów, Henri de Regnier i Francis Viele - Griffin, zazwyczaj razem są wspominani. Pierwszy swoim klasycznym nastrojem ducha, najbardziej się zbliża do dawnych poetów francuskich; drugi kocha pieśń ludową, naturę, świeżość życia sielskiego; jest w nim jakaś fauniczna, *allegrezza.* Regnier jest najobjektywniejszy i najbardziej artystyczny śród tych poetów, a Griffin bezwątpienia ma w sobie najwięcej liryzmu.

O Maeterlincku nie wspomnę tutaj, gdyż uzyskał on rozgłos taki, że niemal jest popularny, a z pośród Belgów prócz niego niezmierną tężyzną odznacza się Emil Verhaeren, potomek poetycki Rembrandtów i Rubensów.

Bardzo ciekawą grupę stanowi szereg młodych poetów, tzw. intimiści, którzy w najprostszy sposób malują najprostsze rzeczy, swoje własne otoczenie, swój dom, ogród, staw, chłopów sąsiadów i t. d. Miejscami poezja ta przypomina „Fioretti“ św. Franciszka.

Główni pisarze tej grupy są: Fr. Jammes, Max Elskamp, T. Braun.

A. Lange.

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Mickiewicz l'un des initiateurs de l'humanité.* Par W. Lutosławski. Genève et Bale. Librairie Georg et Cie. 1902. Str. 32.

Wykład ten, wypowiedziany w uniwersytecie lozańskim, w sali Mickiewicza, w dzień inauguracji kursów „Filozofji narodowej polskiej“, pozostaje w ścisłym związku z całym systematem mistycznej filozofji narodowej autora „Wykładów Jagiellońskich“, opartej, jak wiadomo, głównie na filozofji platońskiej z jednej, a na mesjanizmie Towiańskiego i naszych wielkich romantyków z drugiej strony. Nie wdając się na tem miejscu w ocenę znanych już zresztą dostatecznie poglądów p. Lutosławskiego, podajemy tutaj w streszczeniu zasadnicze punkty tej broszurki. — Ludzi, którzy wprowadzają ludzkość całą na nowe drogi, którzy sami po raz pierwszy doznają uczuć nigdy przedtem niedoznawanych i którzy, obdarzeni zdolnością „zarażania dusz“, udzielają uczuć tych drugim tak, że na skutek tego dzieci wieków przyszłych wyższe są od genjuszów wieków poprzednich, takich ludzi nazywa p. L. inicjatorami. Są oni arcymistrzami tej inicjacji, tego nieustającego wtajemniczania, które podnosi nas ze szczebla na szczebel i kształtuje istotę wewnętrzną ludzkości. Takimi inicjatorami, według autora, byli pomiędzy innymi: Budda, Platon, Plotinus, św. Augustyn, Descartes, Leibnitz, Newton, Cezar, Napoleon, Dante, a także Mickiewicz. Mickiewicz jest głównie apostołem, inicjatorem nowego rodzaju miłości, miłości bratniej dusz, zdążających do urzeczywistnienia jednej i tej samej idei, narodowej idei polskiej. Miłość ta, która sprawiła, iż poeta, porzuciwszy zupełnie twórczość poetycką, ostatnich lat dwadzieścia swego życia poświęcił jej urzeczywistnieniu, ta miłość, zarówno w istocie swej, jak i w zastosowaniu, różna jest zasadniczo od jakiegokolwiek poprzednio wyrażonego uczucia.

Autor, przekonany mocno o tem, iż kiedyś ludzkość cała będzie się uczyła języka polskiego choćby na to tylko, by poznać Mickiewicza w oryginale, podaje definicję trzech nowych uczuć, które, według niego, stanowią istotę urzeczywistnionej przez Mickiewicza reformy życia wewnętrznego. Pierwszem z tych uczuć jest „autokreacja“ — samotworzenie. Polega ona na jasnem

i głębokiem uświadomieniu sobie przez jednostkę indywidualnego bytu duchowego i niezależności zupełnej od Boga i świata! Jaźń jest rzeczą realną, choć nie materjalną, wolną, podobnie jak Bóg, wszechwładną i jedyną formą zarazem, na podstawie której człowiek wyrobić sobie może pojęcie o Bogu. Jednostka „samotwórcza" przeświadczona jest o swej nieśmiertelności, gdyż naturalnie (!) wierzy w reinkarnację, a działając zgodnie z zasadami tej wiary swojej, pomaga Bogu kształtować samą siebie, co nie przeszkadza jej jednak korzyć się przed istotą najwyższą, a nawet tak, jak u Mickiewicza, przyjmować zasady, oraz sakramenty Kościoła katolickiego. Te oczywiste sprzeczności — powiada p. L. — słowami pogodzić się nie dadzą, pogodzić je może jedynie: wiara w Mickiewicza... takiego naturalnie, w jakiego wierzy p. L.

Potrzeba dalej wierzyć w drugie, nowe uczucie. Jest niem nowy rodzaj miłości bliźniego, którą autor nazywa „autokrucyfiksją" — samokrzyżowaniem. Człowiek „samotwórczy" po fazie pychy, którą Mickiewicz przebył w „Dziadach", dochodzi wreszcie do tej nowej fazy i zapomniawszy bolów własnych, cały w pokorze oddaje się na usługi ludzkości i cieszy się z każdego cierpienia, które podzielać może ze swym Bogiem, wiedząc, że każde jest tylko przepowiednią radości przyszłych. Wprawdzie podobny substrat uczuciowy, — przyznaje p. L. — przyniosła już dawno ewangelja, ale u Mickiewicza odpada piekło, przeciwko któremu on i jego wyznawcy gotowi są walczyć wieki całe, dopóki nawet szatanowi samemu powrotu do niebios nie wywalczą...

Ostatniem, trzeciem zasadniczem uczuciem, które p. L. wprost z mesjanizmu naszego wyprowadza, jest „Teadelfja", t. j. uczucie, sprawiające, że człowiek czuje się sprzymierzeńcem Boga, w stwarzaniu ciągłem i kształtowaniu wewnętrznem siebie samego i ludzkości. Przyznaje p. L., że to uczucie jeszcze mniej nowem jest od obu poprzednich, ale twierdzi, że Mickiewicz nadał mu specjalny i ostatecznie przekonywujący ton. „Słowa są bezsilne na wyrażenie tych niebiańskich rzeczywistości". Rzeczywiście. Poglądom p. Lutosławskiego niepodobna odmówić jednej zalety, mianowicie... poezji, nie nowej jednak, niestety, ani oryginalnej, a praktycznie szkodliwej. *A. C.*

PISMA. *Wisła,* miesięcznik poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. Tom XVI, zeszyt 3.

Wiele dobrego i rzeczywistego pożytku może odnieść nauka, jeśli znajdzie się kilka osób, któreby jej zechciały poświęcić choć parę chwil wolnych, tego dowodem omawiany zeszyt „Wisły". W roku minionym grono chętnych ludzi zakrzątnęło stę pilnie i urządziło w Lublinie wystawę gubernjalną. Otóż cały plon, jaki dział etnograficzny tejże wystawy zgromadził, ukazał się obecnie w jednym zeszycie, w którym znajdujemy większą ilość drobniejszych przyczynków, dotyczących jednego obszaru naszej ziemi. Materjał, jaki tutaj się zebrał, posuwa o duży krok naprzód znajomość kraju i kultury ludu lubelskiego, wzbogacając naukę znaczną ilością cennych a nowych wiadomości.

Omawiany zeszyt zaczyna się artykułem prof. Hieronima Łopacińskiego, głównego organizatora działu ludoznawczego wystawy. p. t.: „Dawne podziały administracyjne gubernji lubelskiej". Przyczynek ten do geografji historycznej, będący urywkiem z pracy obszerniejszej, omawia podział gubernji za czasów pierwszego rozbioru Polski, z jakich części województw złożono nową całość powiatu politycznego, jak nakoniec ukształtowano lubelską ziemię po przyłączeniu jej do Królestwa Polskiego i jakie zmiany później poczynili Moskale w latach 1842, 1844 i 1866.

Nader zajmujący artykuł p. Ignacego Wolanowskiego: „O szopce lubelskiej z przed lat trzydziestu", jest poniekąd uzupełnieniem pracy tegoż autora, zamieszczonej w X. tomie „Wisły".

Z pomiędzy prac ważniejszych wymienić trzeba: „Kilka słów o typie polskim wogóle, a lubelskim w szczególności", znanego antropologa, W. Olechnowicza, w której to pracy autor omawia na tle trzech głównych ras, wchodzących w skład ludności Polski (rasa krótkogłowa środkowej Europy, jasny blondyn Europy północnej i rasa śródziemno-morska), specyficzne cechy ludności gubernji lubelskiej.

„Przyczynki ludoznawcze z gminy Skierbieszów w powiecie zamojskim", p. Romana Świdzińskiego, opisują pokrótce chaty, żywność, ubiór, sposób życia, obrzędy doroczne, wesele, wraz z pieśniami (szkoda, że bez nut!). Toż samo przynosi artykuł Władysława Koźmiana: „Kilka słów o mieszkańcach parafji Krzeczonów w powiecie lubelskim", tylko w znacznie obszerniejszych zarysach. Zbiorem materjału surowego jest dalej praca Błażeja Szewca, p. t.: „Zwyczaje i obrzędy weselne we wsi Wielączy w powiecie zamojskim". Uzupełnieniem dawniejszych opisów, pomieszczonych w „Wiśle", jest praca p. Jana Brandta, p. t.: „Przemysł drobny w powiecie biłgorajskim", w której autor opisał: sitarstwo, tkactwo, wyroby druciane i kuśnierstwo. Z kolei następuje garść „Podań i legend z Olszanki Turobińskiej, spisanych przez Macieja Maciąga. Znajdujemy tu legendę o stworzeniu świata, początku Turobina, o trojakiem plemieniu ludzkiem, zamawianiu boleści. — Prof. H. Łopaciński podał dalej szczegółowy opis działu etnograficznego wystawy przemysłowo-rolniczej w Lublinie, poczem następuje szereg drobnych wiadomości, ugrupowanych w pewną całość z przyczynków luźnie nadesłanych na wystawę. Mamy więc drobne wiadomości z dziedziny antropologji, o odzieży ludowej, o pożywieniu, obrzędach religijnych i dorocznych u ludu lubelskiego. — Budownictwa wiejskiego tyczą się artykuły prof. Łopacińskiego: „Okazy staropolskiego stylu budowlanego w Goraju i Wielowcu", oraz „Zakładziny domów". Ażeby nie zajmować się mnóstwem drobiazgów, jakie ten zeszyt przynosi, wymieniamy już tylko ciąg dalszy zarysu etnograficznego Zofji Staniszewskiej, p. t.: „Wieś Studzianki", w którym kreśli szczegółowy obraz wesela chłopskiego. Całość zeszytu dopełnia bogaty dział „poszukiwań", „drobiazgów" i „sprawozdań"—

wszystko to zaś tyczy się gubernji lubelskiej. Znaczna ilość pięknie wykonanych rycin podnosi wielce wartość zeszytu. *w. i.*

SZTUKA. *Aleksander Gierymski.* Z okazji wystawy prac Gierymskiego, urządzonej w Warszawie, na dochód budowy pomnika w Rzymie, poświęca „Tygodnik Ilustrowany“ ostatni numer temu artyście. Z małymi wyjątkami, zamiast innych rycin, znajdujemy tam niemal same reprodukcje jego obrazów, a oprócz tego charakterystykę i ocenę jego działalności, pióra p. H. Piątkowskiego.

Zapoznał publiczność polską z wartością Gierymskiego właściwie dopiero Witkiewicz, kiedy, piorunując przeciwko hierarchji tematowej w malarstwie, usiłował na miejscu jej postawić hierarchję wykonania i, jako wzory do naśladowania, wskazywał braci Gierymskich i Chełmońskiego. Artyści i głębsi lubownicy znali tę trójkę oddawna, wiedzieli o niej i kunsthändlerzy, a nawet tu i ówdzie jakiś salonowy dyletant wykładał o nich panienkom, jak o wilku żelaznym. Ale to, co się nazywa ogółem szerokim, to poza Matejką i Siemiradzkim więcej znało Brandta, Kowalskiego i t. d. Zato od czasu Witkiewicza mówi się o tych trzech zawsze z pewnem pochyleniem głowy. Można trochę lekko brać tę czy ową grupę w obrazie Brandta lub Kowalskiego, jako wprost wziętą z fotografji, można uśmiechać się na to, że jeden czy drugi powtarzają się chętnie w tem, co im szeroki poklask i pokup zdobyło. U tamtych trzech, wie dziś każdy, że nic takiego trafić się nie może, że wszystko u nich pochodzi z głębokich, szczerze artystycznych i myślowych pobudek.

Ten ton respektu przed nimi, napędzonego szerokiemu ogółowi przez Witkiewicza, czuć odtąd we wszystkiem, co się mówi, pisze i drukuje o którymkolwiek z tych trzech malarzy. Widać go też i w tem, co pisze p. Piątkowski o Al. Gierymskim. Podnosi on oryginalność dzieł jego, jako rezultat odrębnego, samoistnie poczętego zapatrywania na życie i sztukę, pragnienie prawdy, jako najrzetelniejszego podkładu piękna i pod tym kątem rozpatruje działalność artysty od roku 1868 — kiedy to, jako dziewiętnastoletni zaledwie młodzian, wyjeżdża z Warszawy, wezwany przez brata Maksa na studja zagranicę — aż do schyłku żywota. Całą działalność dzieli autor na trzy okresy, wedle tego, jak wspomniane cechy tej organizacji artystycznej to spożytkowywały nabywaną wiedzę, to w okresie szczytowym dochodziły do całkowitego wyzwolenia w takich obrazach, jak: „Austerja“, „Gra w mosa“, a wreszcie słynne „Trąbki“, „Trumienka“, „Anioł Pański“ i w. i., a wreszcie w okresie zaniku, albo raczej zdrobnienia cech duchowych w epoce końcowej. Wyliczając tytuły obrazów, podaje autor pobieżnie znaczenie Gierymskiego, jako rysownika i kolorysty, oraz jego głęboką sumienność artystyczną.

Ale wszystko to byłyby tylko „słowa“, gdyby nie tych kilka reprodukcji obrazów, załączonych w numerze. Nie są one ani z najlepszych obrazów, ani same zbyt doskonałe, a jednak z nich dopiero można trochę zrozumieć, zarówno ogólne określenie talentu, jak i poszczególne pochwały, można się przekonać, co takie słowa mogą znaczyć na konkretnym wypadku. W takiem „Wnętrzu kościoła w Siennie“ widać, jak Gierymski starał się zrozumieć po malarsku, co właściwie robi tam wrażenie i co należy namalować jak najwierniej, aby to wywołać na obrazie. Czyż nie czuje się wprost tej chłodnej, ciemnej próżni powietrza, wysoko pod sklepieniem kopuły, rozpinającem się nad figurą, z klęczącą przed nią kobietą. Albo ów kąt przy ziemi z „Fragmentu kościoła św. Marka“, czy tam nie jest wprost namalowana ciemna wilgoć kąta, nie oświetlanego nigdy, albo tylko rzadko kiedy, przez słońce? My to tylko czujemy, a on widział tam rozmaite plamki, na które rozkładało mu się wrażenie, a potem malował je jak najwierniej. Oto, jak można zrozumieć, co znaczy, że mu prawda była podstawą piękna. Albo jak doskonale charakteryzują sumienną pracę owe „Studja fotograficzne braci Gierymskich“, gdzie studjuje ruchy na bracie siedzącym na tzw. kobylicy, zastępującej mu konia.

Wreszcie doskonale uzupełniają charakterystykę Gierymskiego jego dwa wizerunki. W pierwszym, „Portrecie własnym“ na ściągłej, równej twarzy wyraz bystrego wpatrzenia w świat, z domieszką łagodności, jak gdyby na widok, że tam dzieje się wszystko istotnie tak, jak się sobie przedstawia, że jest, czy być powinno. Na fotografji z lat ostatnich wpatrzenie ma już cechę jakby smutku, że przecież inaczej, gorzej może jest, niż się myślało, że może niejedno pojmować należałoby inaczej i t. d., i t. d... snuć to można sobie w nieskończoność. *St. W.*

NOTATKI. *Album bjograficzne zasłużonych Polaków i Polek.* Ukazały się zeszyty: siódmy, ósmy i dziewiąty „Albumu bjograficznego zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX-go“, zawierające następujące żywoty: „Ignacy Prądzyński“, przez Marjana Massonjusza; „Ambroży Grabowski“, Zygmunta Glogera; „Edward Rastawiecki“, Zygmunta Glogera; „Jan Wincenty Bandtkie-Stężyński“, Dra Stanisława Kutrzebę; „Wacław Aleksander Maciejowski“, Dra Stanisława Kutrzebę; „Romuald Hube“, Karola Dunina; „Józef Korzeniowski“, Piotra Chmielowskiego; „Jan Kazimierz Wilczyński“, Lucjana Uziębłę; „Kazimierz Kantak“, Benzelstjerne-Engeströma; „Antoni Helcel“, Oswalda Balzera; „Ignacy Daniłowicz“, Lucjana Uziębłę; „Emilja Szczaniecka“, Benzelstjörne-Engeströma; „Franciszek Liske“, Jana Karola Kochanowskiego; „Aleksander Le-Brun“, Dra Józefa Peszkego i „Henryk Rodakowski“, Henryka Piątkowskiego. — Do każdego życiorysu dołączono portret i facsimile podpisu.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8